

— Chciałbym usłyszeć jego zdanie o całej sprawie, ale w ten sposób, aby się on nie domyślił mojej obecności — rzekł Byrd.

— To będzie łatwe do wykonania — odpowiedział pan Ferris — rzuciwszy przedtem pytające spojrzenie na spokojną i niewzruszoną twarz detektywa. — Oczekuję go tutaj lada chwila. Niech się pan ukrywa za tym parawanem i wysłucha naszej rozmowy.

Byrd wahał się. Głęboka zmarszczka przecięła mu czoło.

— O co panu chodzi? — zapytał pan Ferris. — Nie zdaje się pan być zadowolonym z tej kombinacji.

— Nie będzie to delikatnem w stosunku do kolegi — zauważył Byrd. — Ale sądzę, że pan nie wżmie mi tego za złe i uwierzy, że tylko bardzo poważne powody skłaniają mnie do tego kroku.

— Ależ oczywiście! Rób pan, jak uważasz za stosowne, kochany Byrd — zawołał pan Ferris, patrząc z życzliwością na młodego człowieka.

— Zabawię się więc w podstępne podsłuchiwanie — zaśmiał się Byrd.

Szybko odsunął wskazany parawan i usiadł na niskim krzeselku, oczekując przybycia „kolegi”. Kilka minut upłynęło zaledwie, kiedy szybkie kroki rozległy się na korytarzu i ktoś dyskretnie do drzwi zapukał.

— Proszę wejść — zawołał pan Ferris.

— Czy pan jest sam, panie prokuratorze? Czy nie przeszkadza panu? — zapytał Hickory, wsuwając się ostrożnie do pokoju.

— A, to pan! Wejść pan! Wejść! Czekalem na pana — odrzekł pan Ferris. — Coż tam nowego od rana?

— Niema nic nowego — odparł nowoprzybyły poważnym głosem. — Od chwili, kiedy nasz człowiek jest pod kluczem, nie możemy się spodziewać nic nowego z tej strony. Przygotowałem więc swoją walizę i za pozwoleniem pana, panie prokuratorze, południowym pociągiem udam się do New Yorku i Chicago po nowe wiadomości.

— Tak? Once pan wyjechać? Czy pan jest zupełnie pewnym winy pana Hildretha?

Hickory zaprotestował ruchem ręki.

— Nie pozwoliłbym sobie na tak krótkowe przekonanie, panie prokuratorze. To nie wchodzi w zakres detektywa, tylko sędziów przysięgłych i prokuratora. Mogę tylko to powiedzieć, że dotąd okoliczności ułożyły się w ten sposób, że nie można mieć wielkich wątpliwości w tym kierunku. Zresztą sam wiecie, zdaje sobie dokładnie sprawę ze swojego krytycznego położenia. Przepędził całą noc bezsenne. Chodził bezustannie po celi, od ściany do ściany, jak zwierzę zamknięte w klatce, lub też siedział na pryczy zamyślony, przybity, z twarzą ukrytą w dłoniach. Miał wygląd człowieka, który utracił już wszelkie nadzieje. Od czasu do czasu powtarzał: „Gdyby dziadek był to wiedział!” — Dziś rano zażądał przyborów do pisania. Kiedy uczyniono zażądanie, wystosował długi list do swoich sióstr, w którym błaga ich, aby wierzyły w jego niewinność. Daje im przytem pewne złacenia, tak, jak gdyby nie wierzył już w powrót swój do życia. Jestem nawet niespokojny, bo lękam się, czy nie przemyśliwa nad jakim ostatecznym krokiem. Kazałem go dobrze pilnować i bezustannie mieć na oku.

Podczas kiedy detektyw wymawiał ostatnie słowa, dał się słyszeć z za parawanu szmer jakiś, który w innej okoliczności byłby zwrócił uwagę młodego człowieka. Ale Hickory tak był pewnym swojej sprawy, że wyrzekł się już zbytnej ostrożności i niedowierzania.

Bez wedy jednak z jego strony, ta lekka przerwa przerwała potok jego gorłej elokwencji.

— Przypuszczam, że pan prokurator pochwała mój zamiar wyjazdu — zapytał dobroduszenie.

— Ależ naturalnie. I rozmawiamy obszerniej po pana powrocie. Niech mi pan pozostawi swój adres, w razie gdyby potrzebował skomunikować się z panem. Jak długo zamierza pan tam pozostać?

— Dwa lub trzy dni najwyżej, panie prokuratorze. Oto mój adres w Nowym Yorku. Do Chicago zaś udawać się będę trzy razy dziennie, aby podjąć z pocztą moją korespondencję.

— To dobrze, panie Hickory, nie zatrzymuję pana więcej — rzekł pan Ferris. — Życzę szczęśliwego powrotu!

Detektyw z miną bardzo zadowoloną z siebie skłonił się przed prokuratorem i wyszedł z gabinetu.

Przez kawały chwili, z obawy, aby jeszcze nie powrócił, Byrd wysunął się z za parawanu.

— No i cóż Byrd? — zapytał pan Ferris. — Jakie jest pana wrażenie.

Młody człowiek nie odpowiedział, tylko zapytał ze swej strony:

— Czy pan Fradwell wyjaśnił panu, panie pro-

kuratorze, że mógłbym łatwo interweniować w tej sprawie, o ile uważałbym to za potrzebne?

Pan Ferris przytaknął ruchem głowy.

Będę więc prosił pana prokuratora o uspokojenie pana Hildretha, że jeżeli nie popełnił zarzuconej mu zbrodni, nie potrzebuje się niczego obawiać na przyszłość. Jest człowiek, który od dzisiejszego dnia zajmie się tą sprawą i przysięga, że odkryje winnego, a powróci wolność niewinnie zasądzonemu.

— Jaktó! — zawołał pan Ferris ze zdziwieniem. — Nie podziela więc pan zdania swojego kolegi w stosunku do Hildretha?

— Nie, panie prokuratorze.

— Ależ Byrd... zastanów się.

— Ten Hickory, to człowiek próżny i uparty. On to odkrył pana Hildretha i zwrócił na niego uwagę policyi i sądu. Dla niego Hildreth musi być winnym.

— Więc pan jest przekonania, że Hildreth jest niewinnym. Czy tak?

— Moje przekonanie nie jest jeszcze wyrobione. Ale to na tapie wkrótce. Nie mówiłbym tego komu innemu, panie prokuratorze!

— Dlaczego?

— Dla kilku przyczyn. Najsamprzód, jak panu wiadomo, nie wolno mi pracować otwarcie. Jeżeli mam iść za śladem, który, jak mi się zdaje, jest już w moich rękach, muszę tak działać, aby nikt tego nie spostrzegł. Dla tej przyczyny, proszę pana o bezwzględne zawierzenie mi i pozwolenie działania na swoją rękę, aż do dnia, w którym będę mógł powiedzieć panu: „Morderca jest ten lub tamten człowiek”. Będę bardzo zdziwiony i zawiedziony, mówię szczerze, gdyby pan Hildreth grał w tem wszystkim jaką rolę.

### Zręczność detektywa.

W ciągu rzeczy swojej z miss Darnell Byrd rozmyślnie powstrzymał się od wymienienia nazwiska człowieka, którego w rzeczywistości uważał za mordercę pani Clemmens. Czuł, że wystarczyłaby aluzja na dyskretniejszą w kierunku siostrzeńca zmarłej, aby wywołać u młodej dziewczyny gest zdumienia lub okrzyk, mogący potwierdzić przekonanie, jakie sobie wyrobił.

Ale czuł odrzecz do użycia podobnego środka względem miss Darnell. — A Byrd posiadał jedną wadę, którą napróżno starał się zwalczyć w sobie: od czasu do czasu człowiek światowy występował w nim, potępiając detektywa. Nie przeszkadzało mu to jednak zachować wobec Cyryla Morgana poważnego podejrzenia. — Jednakże będąc człowiekiem skrupulatnym i sumiennym, chciał Byrd skontrolować i wzmocnić te swoje podejrzenia.

Przedewszystkiem więc chodziło o przekonanie się, czy miał słuszość, biorąc za Morgana młodego człowieka, którego widział z miss Darnell w porze kalni w Syrakuzie. Następnie wyszukał sposób wykrycia śladu, mogącego stwierdzić obecność Cyryla Morgana w Sydney w dniu zbrodni.

Przed zajęciem się jednakże tymi dwoma ważnymi punktami, detektyw udał się jeszcze do Białego Domku w celu ostatecznego przekonania się, w jakich okolicznościach zbrodnie na pani Clemmens dokonana została.

Po tym nowym przegadaniu wydało mu się jasnym, że, aby odsunąć hipotezę winy pana Hildretha — trzeba było przypuścić, iż morderca znajdował się już w Białym Domku, kiedy młody człowiek tam się udał.

Domek pani Clemmens posiadał trzy wyjścia: drzwi główne, otwierające się do przedpionka w którym pan Hildreth zatrzymał się po rozmowie z wdową; drzwi od kuchni, przez które nikt wejść ani wyjść nie mógł, nie będąc widzianym przez włóczęgę — w końcu drzwi jadalni wychodzące na ogród ze strony przeciwnej. Drzwi te umieszczone były w ten sposób, że gdyby nawet uszły uwagi Hildretha i włóczęgi — to pani Clemmens z miejsca, w którym stała, zajęta nakręcaniem zegara, musiała dostarczyć obecność napastnika, wciskającego się do domu tem wejściem.

W ostateczności można było przypuścić, że morderca wszedł przez drzwi kuchenne po odejściu włóczęgi, ale tyle okoliczności sprzeciwiało się tej hipotezie, że nie można ją uważać za prawdopodobną. Narzucała się więc pewność, że morderca musiał znajdować się w kuchni lub też w pokoju jadalnym w chwili, kiedy pani Clemmens opuściła salon, aby przysiąć Hildretha.

Inny punkt był również rozjaśniony; morderca, przypuszczając ciągle, że nie był nim oskarżony, mógł tylko po dokonaniu faktu uciec w stronę lasu. Z pewnością, przebyć musiał trzęsawiska niebezpieczne, zanim dotarł do miejsca, gdzie ukryć go mogły ga-

szcza drzew. Na przestrzeń tą, o ile to był człowiek silny, wystarczyć mogło pięć minut czasu. Szybki rachunek wystarczył, aby przekonać Byrda, że upłynęło więcej czasu od chwili, w której pani Clemmens została napađniętą, a chwilą, kiedy pan Ferris otworzył drzwi od pokoju jadalnego w celu skonstatowania położenia.

Doszedłszy do tego wyniku, detektyw postanowił sam doświadczyć, w jak krótkim czasie zdoła dobiec do skraju lasu i wyhadać, w jaki sposób można było wydalić się ze Sydney, nie będąc spostrzeżonym przez nikogo.

Zadanie to w wykonaniu okazało się trudniejszym, niż się spodziewał. Teren za domem składał się z małych wysepek, przedzielonych głębokimi moczarami, gdzie detektyw zapadał kilkakrotnie prawie po kolana. W tych warunkach Byrd, zmuszony wybierać drogę możliwą do przejścia i okrążyć, skonstatował, że potrzebował blisko siedm minut do przejścia przez trzęsawiska i dojścia do pierwszych drzew lasu. Od tego miejsca bieg był już ułatwiony tembardziej, że wkrótce odkrył ścieżkę wychodzącą na polankę, w głębi której znajdowała się niewielka szopa, opuszczona przez węglarzy.

Jedno bystre i ostrożne spojrzenie, rzucone w tym kierunku, pozwoliło detektywowi przekonać się, że szopa była pusta. Na razie zaprzestał dalszych badań, chcąc się przedtem przekonać dokąd wiodła ścieżka, którą przybył. Wyszedłszy z lasu po dobrej pół godzinie marszu, detektyw spostrzegł ku wielkiemu swojemu zdziwieniu, że znajduje się na głównej drodze, prowadzącej do Sydney. Zamiast przeciąć las w prostej linii, tak, jak się tego spodziewał, ścieżka zataczała znaczne pólko.

O jakie sto kroków od miejsca, w którym się znajdował, Byrd dojrzał tor tramwajowy, gnący pomiędzy mieszczkimi domami przedmieścia.

Słyszał już o tej arystokratycznej dzielnicy zwanej West Ridge. Zwrócono mu uwagę na malowniczość widoków Sydney, obserwowanych z wysokiej góry, tworzącej rodzaj kopca i z obserwatorium astronomicznego, urządzonego na dachu willi profesora Darlinga.

Z drogi, którą podążał Byrd, widział całe miasteczko przytulone w dolinie, bardzo nisko położonej. Po lewej stronie ciągnęły się wzgórza pokryte lasem, które przed chwilą przebył, a naprzeciw, w oddali widać szeroką rzekę, nad którą wznosił się most kolejowy. Byrd rozpoznawał park miejski, dzwonicę kościelną i czworoboczny budynek Pałacu Sprawiedliwości. Zdawało mu się nawet, że dojrzał czerwony dach Białego Domku pani Clemmens. Przeciągnął gwizd oznamił mu nagle odejście tramwaju. Otrząsnął się sztytło z zamyślenia i skoczył do ruszającego już wozu.

Byrd udał się aż do końca toru tramwajowego, dochodzącego do dworca o jakie dwa kilometry od miasta.

— Zdaje mi się — myślał detektyw, powracając do swojego hotelu — że posłużyłem się tą samą drogą jaką wybrał morderca, oddalając się z Białego Domku. Teraz coraz mniej zaczynam wierzyć iż był nim Gordon Hildreth. Ale jeżeli nie on, to kto?

Drażniąca sylwetka miss Battrycy Darnell stanęła nagle przed jego oczami, ale całą siłą woli odepchnął ją od siebie, szepcząc rozpaczliwie:

— Nie, nie! To niemożliwe! Nie spoczne, aż rozwiążę tę męczącą mnie zagadkę

### Cyryl Morgan.

Ruśrya „Harrison i Chamberlain” mieściła się w obrzeżach bud. nka. przy jednej z największych ulic w Buffalo. Zatrudniała ona niezliczoną liczbę robotników.

Nazajutrz po wycieczce swojej do lasów Sydney, Byrd stał na posterunku w bliskości fabryki, w godzinie, w której kończyły się prace i czekał na nadejście Cyryla Morgana. Nie znał go jeszcze, ale z opisu, jaki mu uczyniono, sądził, że łatwo rozpozna w nim młodego człowieka, towarzyszącego miss Darnell na dworcu w Syrakuzie. Przez czas dłuższy bacznie obserwował wszystkich mężczyzn, wychodzących z fabryki, nie znajdując w nich żadnej analogii z tym, którego ujrzał pragnął.

Cnciał już zrezygnować i oddalić się, kiedy brama otworzyła się po raz ostatni, dając przejście dwom panom. Młodszy z nich zwrócił natychmiast uwagę detektywa.

(Ciąg dalszy nastąpi.)